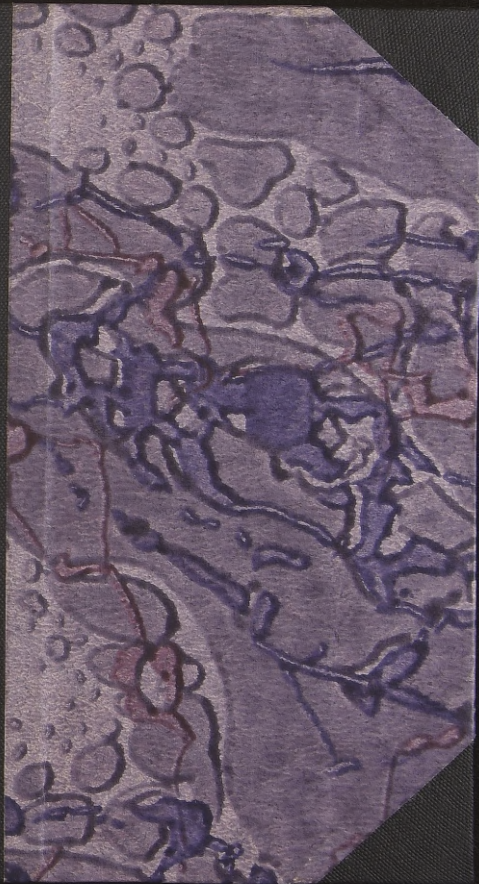




KIELNIA ALBO KRZYŻ

OPOWIADANIE DLA LUDU

KATOLICKIEGO

przez

Konrada de Bolanden.

ZA POZWOLENIEM AUTORA I WYDAWCY

na język polski przetłumaczył

Ks. E. B. z S.

z Archidiecezyi Gnieźnieńskiej.

„Tać jest ona godzina wasza
i moc ciemności.“ *Luk. 22, 53.*

BYTOM w Górnym Szlązku.

Nakładem księgarni **T. B. Garus.**

Skład niniejszego dziełka dla księstwa
poznańskiego jest u Pana

M. Leitgebra i spółki w Poznaniu.

Nakładem téj saméj księgarni także wyszły następujące powieści dla ludu, przez **Konrada z Bolanden** mianowicie:

1) „**Stary Bóg żyje.**“ Jest to opowiadanie historyczne dla ludu katolickiego przez **Konrada z Bolanden** które za pozwoleniem autora i wydawcy z niemieckiego oryginału **ksiądz N. Bontzek** na język polski popularnie przełożył. Cena księgarska jednego egzemplarza wynosi 2 srg. 6 feników czyli 15 centów waluty austriackiej.

2) „**Nowy Bóg**“ czyli nowomodne państwo, pragnące usunąć starego Boga i obalić królestwo Boże na ziemi, jednym słowem, dążności do usunięcia Papieża i błędne zasady wolnomularzy zawstyżone i pokonane.

3) „**Dokąd mamy się udać i dokąd dążyć?**“ Powieść o wolnomysłnych postępowcach, których sumienie od poczucia religijności i pobożności zupełnie jest wolne.

KIELNIA ALBO KRZYŻ

OPOWIADANIE DLA LUDU

KATOLICKIEGO

przez

Konrada de Bolanden.

Przetłómaczył z Niemieckiego

ZA DOZWOLENIEM AUTORA I NAKŁADCY

Ks. E. B. z S.

z Archidiecezyi Gnieźnieńskiej.

„Tę jest ona godzina wasza
i moc ciemności.“ *Euk 22, 53.*

BYTOM w Górnym Szlązku.

Nakładem księgarni **T. B. Garus.**

Druk T. Heneczek w Niemieckich Piekarach.

1872.



8891 s

884-3

ZBIORY SLASKIE

K 345 75 51.

Podstyszeni.

Tam nad rowem na łące wieśniak oparty
na toporzystu motyki, martwi się z lichego sprzę-
tu potrawu. Potrząsa głową, drapie się za usza-
mi i mruczy że daremny mózół i daremna cię-
żka praca, kiedy Bóg nie doda wzrostu.

Bardziej nasuwa czapkę na kark, wargi ści-
ska i coraz kwaśniejszą przybiera minę. W tém
podnosi głowę zaciekawiony i patrzy poprzedsię
ku brzegowi lasu. Rysy jego rozjaśniają się i
oczy roweselają, bo wspaniały głos tenorowy roz-
syła na dolinę piosnkę następującą:

Gdyby ze mnie cesarz był,
Rządziłbym sprawiedliwie,
Bobym czią dobrych darzył —
A złych karał dotkliwie.

Śpiewak téj pieśni siedzi na pysznym ru-
maku. O kilka kroków postępuje za nim drugi
jeździec, widać że to sługa pierwszego. Śpiewak
jest młody, i piękny. Bardzo mu ładnie w tym
prostym szarym surduciku. Kapeluszyk pilśniowy
trozkę śmiało siedzi ponad niewinną jego twarzą,
swawolai i wesołość oblegają usta jego, na około i
z czarnych ócz iskrzy się ogień ducha. Przy naj-
pierwszym zakręcie drogi zatrzymuje konia. Z tąd nie-

daleko położona jest ładna wieś i w tyle ponad wierzchołkami drzew na pagórku wznosi się latowa siedziba panującego księcia.

Franciszku, czy nie znajdujesz, że tutaj powietrze daleko jest czystsze jak zazwyczaj?

Mnie się także tak zdaje, Jaśnie Panie!

Lecz czy domyślasz się także przyczyny tej czystości powietrza, Franciszku?

Nie mogę jej się domyśleć, panie hrabio!

Powiem ci przyczynę, odrzekł panicz, kapelusze zdejmując, filuternie się uśmiechając i prawą ręką kędziory głowy poprawiając,

Widzisz Franciszku! powietrze dla tego dziś czystością, jak niewinność, serce owiewa, że niemi nie oddychają dziś panowie i panie z rezydencji. Na tém doskonale się poznałem. Wiele razy karawany z miasta tu przybywają, to na ówczas powietrze bywa gęste, palące i cuchnące. Skromne zaciszne wiejskie twarz wstydliwą zastania żałobą, krzak każdy zamyka uszy na próżne gęgotanie — a kwiatki wszystkie nosek zatulają przed zapachem bizamu i perfumów. Tak bywa za każdą razą, Francisku! A że dziś żaden gwar miejski lubiej wiejskiej ciszy nie rozstraja, że spokój tu zamieszkuje i głęboka cisza wyraźnie daje duszy dosłyszeć działania ducha Bożego — dla tego jedź teraz sobie sam do domu.

Zeskoczył z konia.

Podaj mi tekę od papierów i plaid (dużą chustę).

Służący podał obie rzeczy.

Chustę zarzucił przez plecy, tekę wziął pod pachę i potem puścił się panicz ściszka ku bliżkiemu lasowi, którego wysmukłe buki płaszczem górę okrywały. Ściszka wpadała do miejsca okrągłego, otoczonego młodemi świerkami. Kilka ławek z wygodnemi poręczami wabiły do siadania. Hrabia wzgardził ławkami, spojrzał w ciemność boru i wdrapał się na urwisko spadziste. Nad porośłą mchem opoką rozłożył plaid, usiadł i otworzył tekę. Przez otwór w gałęziach spostrzegł wieśniaka na łące, którego postawa i chód kłopot i zadumę wyrażały.

To także myśliciel, rzekł młody hrabia. A myśli i postanowienia tego prostaka niezawodnie przydatniejsze życiu, niż myśli i postanowienia niejednych wielkich panów, którzy często naturalną kolej rzeczy partanią psują. Jak to chodzi — jak to stawia — to wcielona troska. Oczywiście rozprawę ma z strumykiem, którego orzeźwiający wody radby sprowadził na spragnione swe niwy. Daremne usiłowanie, mój drogi! Chociażbyś i upładniające rzeki sprowadził na łąki swe — chociażbyś potem podgnoił rolę — to to wszystko z kretesem zje straszliwy budżet wojskowy (wydatek na utrzymanie wojska.) Im silniejszy i liczniejszy jest wzrost twych synów, im cięższy twój skrzętności owóc — tém głodniejszem, tém nienasyceńszem jest to mnóstwo ogromne żołnierzy, tém szerszy i głębszy żołądek

ministra wojny. A to potrzebne tak, jak jest, bo tylko żołądek z kruszczu to strawi, co z sobą przynosi piękny czas obecny.

Oparty o pień drzewa oddał się wrażeniom otoczenia. Zwolna twarz jego posępniała i coraz stawała się smętniejszą, nieomal uroczyście poważną. Nadzwyczajna bystrość umysłu płomieniała się w oczach, jakby się duchy palcami dotykały jego duszy, a piękną głowę opromieniała tajemniczna światłość. Teraz usłuchał wewnętrznego popędu i prędkim piórem zaczął rzucać na papier poemat (wiersz).

W tém przeleciał po gałęziach skrzypiący głos. Piewca wyląkł się wśród natchnień z wyższego świata. Czterech gustownie ubranych panów szło ścieżką ku okrągłemu miejscu z ławkami.

Kto może ujść przeznaczeń losu? rzekł gniewliwie hrabia. Precz się wyniosły muzy (boginie poezyi,) wypłoszone przez nieprzyjaznych duchów. — Co to widzę? szepnął dalej, ciekawie przez gałęzie wpatrując się w nadchodzących elegantów. Trzech potężnych około najpotężniejszego w kraju. Trzech mistrzów od stołu około Wielkiego mistrza wszech masonów na sto godzin do koła? Czego chcą ci synowie nocy na tém miejscu pokoju? Przecież tyle względu mieć będą, że nie splamią wonnego blasku pól i lasów ponurém nocnej swj roboty pokutowaniem? Zaiste, — już para z kotła czarnoksiężkiego wznosi się, — słońce zachodzi za chmurę, wszystkie światła gasną.

Potém siedział podsłuchując.

Ja pana nie pojmuję, panie profesorze, odezwał się dawniejszy skrzypiący głos. To zgoła może tylko od pana być osobliwszy humor, że bronisz Jezuitów.

To nie humor, panie dyrektorze powiatowy — to raczej wymaganie nauki, odrzekł professor.

Nauka pańskiej wszechnicy słusznie rości sobie prawo do uznania, odparł lekko szydząc dyrektor powiatowy. Lecz Jezuitów chcieć bronić, — nie — to wolność nauki przechodzi.

Jeżeli pan nauce nie dozwalas, stać w obrobie prawa i prawdy, natenczas dozwól zdrowej rozwadze utrzymać fakta (to co się rzeczywiście stało) — rzekł żywo professor uniwersytecki.

O, — w tych zielonych ścianach panu dozwalam wszystkiego, odpowiedział dyrektor, ręką wskazując na stojące w około młode świerki.

A pan także, przewielebny Wielki mistrzu! dozwalas na wolny objaw opinii? pytał się profesor tonem prośby męża z siwą pełną brodą, żółtymi kociemi oczami i chytrými rysami twarzy.

Przepraszam, przepraszam, nie jesteśmy tu w łoży, ani przy pracy murarskiej, rzekł na to siwy. Nie jestem tu wielkim mistrzem, lecz prostym nadradzcą sądowym. Bądź pan jednakże ostróżny w słowach, bo możnaby nas podsłyszeć.

Professor wyszedł za świerki i obéjrzał się na wszystkie strony.

Nawet w oddaleniu nikogo nie widać, rzekł powróciwszy.

To będzie coś ciekawego, muszę to sobie zapisać, rzekł do siebie hrabia niespostrzeżony i zaczął pisać następną rozmowę.

Zakon nasz postanowił zagładę Jezuitów do jednego, — dobrze! Postanowienia tego ani słówkiem nie naruszam, prowadził professor rzecz dalej. Ja też nie mówię jako mason, lecz jako ścisły badacz rzeczy i faktów. A co widzę? Ze wszech stron przypuszczają szturm na Jezuitów. W Monachium murarze nasi przebrali się w habit starokatolicyzmu, aby ze stanowiska ortodoxyi (jakoby chcieli utrzymać starą prawdziwą wiarę katolicką,) klątwę rzucić na Jezuitów. W Darmstadtzie najlepsi nasi murarze przeparli to na sobie że w talarze (w sukni) Lutra wystąpili, aby z kazalnicy protestanckiej potępić Jezuitów i domagać się wypędzenia ich przez władzę państwową. Wszystkie nasze pisma szczują na Jezuitów, nienawiść i oburzenie rozżarzając w masach ludu. Lecz gazety nasze, moi panowie! tak grubo i jaskrawo malują, że palcami fałszu i oszczerstwa domagać się można. Mam tu bawarskie czasopismo, gazetę Kempieńską, z wczorajszego dnia, rzekł dalej, dobywając pismo wzmiankowane. Posłuchajcie panowie łaskawie tej próby i tego sposobu wojowania przeciw Jezuitom.

Professor czytał:

Wszystkie postrachy, które zagrażają ro-

dzajowi ludzkiemu i zagładzić go usiłują, czém są w porównaniu z niecnymi zamachami Jezuitów! Wlekli oni w biegu wieków tysiące tysięcy na szafot i mordowali ich tam jako ofiary dla Bóstwa wszystko miłością obejmującego. Dzieci wraz z rodzicami, młodzieńce i starce, dziewice i matrony stami nieraz w gromadzie jednej padały ofiarą w płomieniach stosu. Wśród srogich mąk, niewypowiedzianych męczarni katowskich musiało na ich rozkaz niezliczone mnóstwo ludzi ducha wyzionąć w rozpacz o miłosierdziu Boskiem. Oni to zdradę i ojcostwo zaprowadzili i uświecili. Często jednym słowem całe ludy podszczuwają ku wzajemnemu wymordowaniu się, a przytém miną pobożniuchną wskazują na krzyż, ten znak władającej we wszystkim miłości. Co zaś najstraszliwsza, że starali się ludzi nie tylko do czasu, ale i na wieki zatracić. Z krwiożerczém okrucieństwem dusili na kielkowaniu zmysł wolności ducha, gdzie się na światło dzienne wydobywał. Królów mordowali i cesarzy, którzy niechcieli ich woli ulegać. Dla przeprowadzenia ciemnych swych rachub na pył przeszłość ludów i majestat książąt i tryumfując jak zły duch pod stopę swą podbijali ludzkość uciemioną. I tego wszystkiego dziś jeszcze chcą, jak tego uczy doświadczenie najnowszej historyi i to właśnie są wrogi, z którymi wolny duch za dni naszych potykać się musi, (Gazeta Kempieńska z 6. Paźdz. 1871 r.)

Teraz panów proszę, odezwał się professor, z pewnem oburzeniem uderzając w gazetę, czyż to nie są oskarżenia najsmieszniesze i najniedorzeczniejsze? Długi szereg najcięższych zbrodni, zamiarów najpieknieńszych i planów najbrzydlawszych zarzucają Jezuitom, a z wszystkich tych zbrodni, zamiarów i planów niczego — zgoła niczego Jezuitom z historii nie udowodnisz! Wszystko zmyślone i udane — a to na domiar tak głupio i niezręcznie zmyślone. To wszystko jest bijącym w oczy oszczerstwem w obec sądu ludzi wykształconych i myślących.

W obec ludzi wykształconych i myślących, — to być może! odrzekł dyrektor powiatowy. Ten artykuł jednakże nie jest pisany dla ludzi myślących — lecz dla głupich w stronach Algawii.

A nadto, wtrącił czwarty, pan z rudą brodą i wąsem, odpowiada artykuł celowi — dobrze nawet ułożony jest na dopięcie celu, boć nienawieść i złość musi opanować każdego dobrodusznego wieśniaka, czytającego takie rzeczy.

Zgadzam się z tém zupełnie, panie radzco rejencyjny! rzekł dyrektor.

Cel uświęca rzeczywiście środki, przysłowie to prawdziwe, odpowiedział professor. Niezapominajmy jednakże, że obecne podburzenie na Jezuitów zapisaniem będzie w historii. Potomni osądzą, a obawiam się, że ich wyrok oświadczy się za zakonem, który obecnie w bezrozumnem szaleństwie tratujemy. Potomnym cała ta szecwanina

na Jezuitów okaże się drobiazgową, tchórzliwą, nikczemną, niegodziwą. Podług dowodów nauki towarzystwo Jezusowe jest najczystszy, najczystszy, najwplywowszy, najuczestniejszy kościoła katolickiego zakonem. Jak wiadomo są Jezuiti najlepszymi pedagogami, (doskonale znają sposób nauczania młodzieży,) najmędrszymi kształcicielami młodzieży, najdoświadczeńszymi spowiednikami, najdzielniejszymi dusz pasterzami. Jezuiti to najlepsi żołnierze Rzymu. Biją się jak lwy. Wielkimi są w umartwieniach i posłuszeństwie, gotowymi na każdą ofiarę dla kościoła. Tego wszystkiego dowiodłbym tysiącem cytatów (miejsce) przytoczonych z dzieł autorów (pisarzy) protestanckich.

Czego wcale nie potrzeba, panie professorze! przerwał Wielki mistrz. Jezuiti są istotnie całkiem wymienieni ludzie. Jezuiti to armia po mistrzowsku uorganizowana. Wszyscy bezsprzecznie słuchają rozkazów doświadczonego generała, w boju wypróbowanego. Zakon Jezuitów to najsilniejszy szaniec obronny Rzymu — i właśnie dla tego musi być zgładzonym. Kielnia albo krzyż, — to nasze hasło! Kielnia, to godło wolnomularstwa, musi odnieść zwycięstwo nad krzyżem, tém godłem chrześcijaństwa. Podług ducha i planu naszego zakonu musi wszelka religia zniknąć z ziemi, — kielnia musi zapanować, a krzyż musi być połamany. A ponieważ kościół katolicki jest najmocniejszą wiary religijną twierdzą, i Je-

zuici najczynniejszymi są opowiadaczami nauki Chrystusa — dla tego także przedewszystkiem winni być zniesieni Jezuici. To przecież doprawdy bardzo jasna rzecz.

Tak jest, panie nadradzco sądowy! zupełnie z tém się zgadzam! odparł profesor. Wyrok śmierci na Jezuitów zapadł i wykonany być musi. To jednakże niepowinno się stać zapomocą brutalnej siły lub kija policyjnego, nie za wyrokiem samowładnym rządu lub izby, lecz przez zwycięstwo nauki. Na całe państwo Niemieckie żyje może do dwóch set Jezuitów. Na jednego Jezuitę przypadłoby najmnij do dwudziestu uczonych. Pytam się zatem, moi panowie, czyżby to nie było największą hańbą dla naszego oświeconego, uczonego wieku, gdyby dwudziestu uczonych nie było wstanie zniweczyć czynności jednego Jezuitę? Czyżby to nie było sromotą dla niemieckiej nauki, gdyby nie poradziła góry wziąć nad tak małym zastępem mężów bezbronnych, znieważanych, i w najlepsze spotwarzanych? Sprzeciwił się to zupełnie méj dumie, odwołać się na zagładę téj maluczkiej liczby wrogów do otwartego gwałtu. Niech nauka zniesie Jezuitów, a nie samowładny wyrok, tchnący duchem barbarzyńca i tyrana Nerona.

Schowaj się pan z nauką! odrzekł żywo Wielki mistrz. Wierżaj mnie, staremu i doświadczonemu murarzowi. Wasza nauka nie uprzątnie z drogi ani jednego Jezuitę. Nie zapominaj, ko-

chany panie profesorze! że i w nauce Jezuici są mistrzami, i że także na tém polu umieją zwyciężać. Nie wolno z tym nieprzyjacielem długo harcować, żwawo trzeba iść naprzód i ściągnąć wszystkie wojska do walnej bitwy. Wybór nagli: kielnia albo krzyż. Jeśli panowanie krzyża skończy się ma, jeśli religia Jezusa z Nazaretu zniknąć ma, jeśli duch wolnego mocarstwa do panowania przyjść ma, natenczas najpierw muszą być zniesieni Jezuici — wytępieni wszelkiemi środkami.

Tu dało się słyszeć głucho mruczenie za najbliższemi krzakami. Mruczący był to ten wieśniak, który przed tém chodził po łące. Idąc z powrotem usłyszał żwawą rozmowę i zaczął się za gęstwiną. Tam stał wysoki i barczysty i uważnie słuchał, często grube ścisnął pięści, czasami z ocz tryskały mu płomienie przez gałęzie ku masonom.

Wszelkiemi środkami — to dobrze! rzekł z ukłonem głowy profesor uniwersytecki. Najnaturalniejszy środek i najskuteczniejszy podałoby prawo opresyjne (gwałtem zakazujące,) łatwo osiągnąć się mogące przez izbę poselską, której większość formalnie, lub przynajmnij tendencyą (dążnością) należy do naszego zakonu. Tymczasem pytanie, czy to nasz monarcha potwierdzi.

Ba — ograniczony ten człowiek nie rządzi, lecz nim rządzą! odpowiedział wzgardliwie Wielki mistrz. A do tego mu nasi pracownicy takiego nape-

dzili strachu przed nieomylnym papieżem, iż go-tów jest zezwolić na wszelkie gwałtowne kroki przeciw Rzymowi.

To wymienicie! pochwalił piszący hrabia i grubą kręską podznaczył słowa: Ograniczony ten człowiek nie rządzi, lecz nim rządzą.

Zwyczajstwo nasze niezawodne, twierdził radzca rejeczyjny. Pora do stanowczo rozstrzygającej zaczepki nie może być lepszą. Największa część wykształconych i robotników fabrycznych jest faktycznie z religii wyzuta. Masy ludu wiejskiego są obrabiane przez naszych czeladników i uczniów, osławiane, przez gazety nasze prowadzone na pasku i zmieszane hałasem o nieomylnego papieża. Nadto cesarz Niemiecki jest masonem, następca tronu państwa Niemieckiego jest masonem, wszyscy ministrowie kraju naszego są masonami, wielu ministrów drugih krajów niemieckich jest masonami. W Hiszpanii już tak jesteśmy potężni, że Wielki mistrz Zorilla królewską mógł rozdać koronę. W Rzymie gdzie od ośmnastu wieków siedziba papieży, wzniesie zaniedługo „Wielki Wschód“ naszego stowarzyszenia stolicę swą nad stolicą uwięzionego i bezwładnego papieża. Jak powiadam, rzeczy wszędzie tak pomyślnie stoją, że kielnia musi pokonać krzyż.

Doprawdy — tać to jest godzina wasza! mruknął hrabia.

Patrzaj jeno, barczał wieśniak za krzakiem, co to za pobożni ludzie ci wolni murarze.

W jednym punkcie pan przesadzasz, odparł professor.— Cesarz i następca tronu państwa niemieckiego są wprawdzie masonami. Lecz ostatecznych celów naszego na cały świat stowarzyszenia obaj nie znają. Tym panom świętości naszych tajemnic pozostają nieznane. Ani nasz Wilhelm, ani Fryc nie domyślają się, że po dokonaniem zwaleni ułtarzy zwalimy także trony. Krzyż prawda ozdobą ładną wydaje się na koronach książęcych — lecz kielnia nie. A jak będzie, gdyby się pomimo to cesarzowi kiedy rozwidniło pod względem naszych właściwych celów? Czyżby nie musiał się ściśle z religią sprzymierzyć przeciw nam?

Że mu się nie rozwidni, o to się postarano, odpowiedział Wielki mistrz. Niech pana nie trapią widma, które na się nie przybiorą nigdy ani kości ani ciała.

Gdyby cesarz niemiecki mógł tylko słyszeć, co to za djabelni złodzieje z tych wolnych murarzy, bąknęło za krzakiem. Muszę się raz tym szelmom bliżej przypatrzeć.

No, panie profesorze! spytał się Wielki mistrz, czyś się nareszcie przekonał, że najpierw Jezuiści muszą być zniesieni i że tylko gwałtownymi środkami wytepieni być mogą?

Co do drugiej części pytania nie przekonałem się jako professor, jednakże jako mason, Przewielebny ojcie! poddaję się, odrzekł ulegle mistrz od stołu. Będę dokładał starań, być na obszar

mej pracy bez wytnienia czynnym dla wielkiego celu ostatecznego, aby w młodych, powierzonych mi ludziach światłem nauki zburzyć religijną wiarę. Przecież uznana jest rzeczą, że na dzisiaj wszechnice są najpłodniejszymi i najmędrszymi matkami niedowiarstwa religijnego. Zwalenie ołtarzy, zwalenie tronów, ogólne pobratanie się narodów w powszechnej rzeczypośpolitej bez Boga, bez nieba, bez piekła, wolność w używaniu, wolność w zachciwaniu, wolność na życie i śmierć, — temu wielkiemu zadaniu naszego zakonu niech będzie cała ma siła poświęcona.

Wielki mistrz potakiwał skinieniem. W tém przelecieli się nagle ci czterej mężowie. Wieśniak, wysoki i szeroki, z iskrami w oczach, wysunął się przed ich kółko. Motykę postawił przed sobą i uważnie wpatrywał się w nieznajomych panów.

Czego to żądacie, dobry człowieku? zapytał się uprzejmie Wielki mistrz.

Jużem dużo słyszał o wolnych murarzach, a teraz, mając sposobność, muszę się raz panom dobrze przypatrzeć.

Tak, — tak, — to ładnie! odrzekł radzca rejencyjny zakaszlawszy z ambarasu.

Zkąd to wiecie, że my wolni murarze? zagadnął dyrektor powiatowy.

Wiem, gdyż podłyszałem całą waszą spowiedź, odrzekł wieśniak.

Ogólne przerażenie.

A coście to podłyszeli? zagadnął professor.

Dosyć się dowiedziałem. Ale to wam muszę powiedzieć, panowie wolni murarze! że z całej waszej sprawy nie będzie nic — zgoła nic — wszystko źle — ciągnął dalej mowę wieśniak z wrażliwym coraz oburzeniem. Wy macie ochotę wypędzić, znieść, zgładzić Jezuitów? Jeno zwolna panowie, jeno powoli — lud także ma tu prawo przemówić. Lud katolicki wie, co to ma z tych Jezuitów. W izbie bawarskiej powiedział ktoś, że katolikom trzeba rozbić łby! Dobrze! A ja powiadam wam panowie masoni! że pierwszemu, który tam do naszej gminy przybędzie, aby naszego miłego, dobrego ojca Jezuitę wypędzić, tą motyką ja rozbiję łeb. — Tak — Ja! — Spróbujcie tylko! Czyż to myślicie, zawołał chłop, pięści ściśnięte podniósłszy — że my katolicy damy się zastraszyć środkami przymusowymi przez łajdaków i urwiszów, którzy nie wierzą ani w Boga, ani w niebo, ani w piekło? Czyż wyobrażacie sobie, że katolicy dadzą się deptać pod nogi, dadzą swą religią uśmiercić, wiarę wyrugować, duchownych znieważać i powypędzać? Czyż wam się tak zdaje? My nie murzyni Afrykańscy, ani niewolnicy — my wolni Niemieccy mężowie — rozpocznijcie jeno z nami, panowie murarze! Pięści nasze mocniejsze od waszych kielni — a odparcie gwałtu dozwolone.

Dostojnicy najpotężniejszego zakonu patrzeli się na dziki wzrok rozgniewanego człowieka i milczeli.

Czy widzicie tam ten krzyż na wieży kościelnej? zawołał wieśniak, wskazując ku wsi. Dużo jest takich kościelnych wież na całe Niemce? A wy myślicie krzyż zrzucić z kościołów — krzyż na którym Zbawiciel za nas umarł — a zatknąć na nich waszą trójgraniatą kielnię? Haha — to śmiechu warte.

Chłop doprawdy się zaśmiał ale złowrogo.

Czy to wy, dobry przyjacielu, macie Jezuitę za proboszcza? zapytał się professor najgrzeczniejszym tonem.

Przecież że mamy Jezuitę proboszczem już od trzech lat, bo brak innych księży. A jakiego Jezuitę mamy? Ja powiadam wam, panowie murarze, tak dobrego, miłego, pobożnego, gorliwego, czcigodnego mamy Jezuitę, że wy wszyscy z waszego zakonu razem wzięci aniście warci zawiezywać mu trzewików. Tak — tak — wpatrujcie się jeno we mnie — jest tak! A potem powiem wam, panowie! jedną jeszcze rzecz. Kiedy tak stoicie o wolność i dobrobyt ludu, kiedy ministrowie wszyscy są wolnymi murarzami, i kiedy taką macie moc w izbie — czemu to ciężary na ciężary ładujecie na kark ludu? Czemu to mnożą się z dnia na dzień ciężary publiczne i podatki? Czemu to my chłopci jesteśmy wyssysani przez poborców jakby tłoczone winogrona? Czemu to nakłady na wojsko coraz rosną i niebezpieczeństwo zagraża, iż w końcu tylko będziemy pracowali dla tych mnogich żołnierzy? Oto panowie mura-

rze! to są nasze bóle — w tém możecie dopomóc ciężko uciśnionemu ludowi. Ale od Jezuitów, od religii, to ręce cofnijcie, to wam powiadam, inaczej — i groźnie podniósł pięść. Toby tedy było, panowie murarze! co miałem wam ja, Franciszek Keller z Wezelheim, do powiedzenia!

Zarzucił rydel na ramię i oddalił się wielkimi gwałtownymi krokami.

Masoni siedzieli w milczeniu. Hrabia zaśmiał się, chustką zatuliwszy usta.

To znowu wielomowny mamy dowód na potężny wpływ Jezuitów, począł mówić Wielki mistrz. Gmina Wezelhejska była przed tém oziębła w rzeczach religijnych — dziś jest sfanatyzowana przez czynność trzyletnią jednego Jezuitę. Precz z tym połą, rzekł wściekle nadradzca sądowy, na zegarze wybiła ostatnia czynności jego godzina.

Kiedy nam panujący książę tam na zamku da posłuchanie? spytał się radzca rejencyjny.

Czternastego tego miesiąca, z uderzeniem jedenastej godziny, odpowiedział dyrektor powiatowy.

Chłodno się robi, moi panowie! pójdźmy! napomknął siwy.

Gmina prowadzona po Jezuicku.

Hrabia siedł w zadumaniu ku wsi. Wesołość i jasność znikły z pięknego oblicza jego, posępna powaga w rysach wystąpiła.

To drogocenna nowina, rzekł do siebie. Więc: kielnia albo krzyż, to tych władców hasło. Na zwaliskach ołtarzy mają być połamane troiny, aby w końcu ogólne braterstwo ludzi w duchu masonów całość uwieńczyło. Braterstwo — hm! to w wyraźnej niemczyźnie znaczy: że wszyscy ludzie, którzy nie są bogaczami i liberałami; będą sługami bogaczy i liberałów (to człowiek, rzucający pięknymi choć często błędnymi pomyśłami i słówkami, ale swego w wszystkiem szukający pożytku, a nie dobra ogółu). Ten chłop miał słuszość, że ci masoni są łajdakami i urwiszami, ponieważ w świętego Boga nie wierzą. A to złajdaczanie się umyślowe bez wątpliwości obrzydliwsze jest i szkodliwsze od złajdaczania się na wódce. Ten wieśniak, to dzielny człek — ucieszyłem się z niego! ciągnął dalej mowę hrabia, uśmiechając się. Zdrowy na duszy i ciele, świeży na sercu, prosty i otwarty? Jak ptaki nocne przed orłem, tak masonerya, od światła dziennego uciekająca, przycupła przed tą, wiary i oburzenia pełną pocziwością.

Szedł zaulkami wsi, patrzył na jasno pobielone domy, widział podziwiane już często ochędoztwo po podwórzach, dziękował wszędzie grzecznie się kłaniającym i w końcu wszedł do gospody. W pokoju czekały go wino Reńskie i potrawa na zimno. Panicz jadł i pił, przyczém czytał najnowszą gazetę. Potém ukazał się słujący.

Są tu ludzie, którzy z Jaśnie Panem pragną pomówić.

Co to za ludzie?

Poczcwi wieśniacy, Jaśnie Panie.

Przyprowadź ich na górę.

Powolnie, ciężko, kolana lekko zginając, wsunął się do pokoju cały tuzin wieśniaków. Zaraz poznał hrabia szeroko barczystą postać Franciszka Kellera. Ludzie byli wszyscy w odzieży odświętnej, a na ogorzałych twarzach rysowały się kłopot i nieporadność.

Czego to chcecie, dobrzy ludzie? rozpoczął hrabia zachęcająco.

Przychodzimy do Jaśnie Pana z wielką prośbą! odpowiedział naczelnik gromadki. Jestem burmistrz z tą i ci drudzy mężowie to radzcy gminni z tą.

Ah! cieszy mnie nadzwyczaj, że mogę poznać czoło gminy Wezelhéjmskiej, odrzekł łaskawie panicz. Na czém zależy potrzeba wasza?

To ja Jaśnie Panu wyjaśnię. Mamy oto od trzech lat ojca Jezuitę za proboszcza, to pan uczciwy, pobożny, gorliwy. Teraz od czterech miesięcy usiłuje rząd wypędzić naszego Jegomości jako cudzoziemca. Już trzy razy rejencya pisała mu o to. Ale nasz proboszcz nie wyjeżdża. Powiada, że nie rejencya mu zleciła urząd pasterski, lecz biskup, że dla tego także nie może rejencya odebrać mu urzędu pasterskiego. Ja nie pójdę precz — lecz zostanę. Że zaś wolni murarze

wielką pałają nienawiścią przeciw Jezuitom, a że wolni murarze są górą władzie, przeto nasz Jegomość gwałtem przez żandarmów ma być wyrzuconym. O to oburza się cała gmina, bo takiego dobrego, gorliwego pana duchownego nigdy nie dostaniemy. A jeżeli żandarmi przybędą, to ja nie będę odpowiadał za to, jak wypędzeni będą za wieś, bo wszyscy czujemy, że to do nieba wolać, żeby kto takiego pobożnego, niewinnego męża kazał przez żandarmów wyprowadzić. Teraz oto idzie prośba nasza. Jutro albo po jutrze przybędzie tam na zamek najłaskawszy nasz monarcha. A ponieważ Jaśnie Pan z naszym monarchą zaprzyjaźniony, przeto prosi Was cała gmina najusilniej, żebyście się dobrą słowem za nami u księcia przyczynili, abyśmy naszego Jegomości zatrzymać mogli.

Dziękuję wam panie burmistrzu, jako i całej gminie, za położone we mnie zaufanie, odpowiedział hrabia. Jednakże wyznać muszę, że właściwie poraz pierwszy słyszę, jak chwalą Jezuitów, kiedy przeciwnie codziennie na nich wyzywają i wygadują.

Niech Jaśnie Pan hrabia Szarfensztejn wybacz, odrzekł Keller, — wygadują mogą tacy tylko ludzie, którzy Jezuitów nie znają. My zaś znamy ich. Nasz — to mąż świętobliwy, żadnego nie ma błędu, chyba co najwyżej jeden tylko.

A to który? — zagadnął Szarfensztejn.

Wszystko Jaśnie Panie! rozdawa między ubo-

gich, odrzekł burmistrz. Żebyśmy mu nie wiedzieć wiele nadali, on niczego nie zatrzymuje, wszystko znowu zakonny braciszek jego roznosi — a to niesłusznie. Człowiek winien tego jeść i pić, kiedy ma pracować.

To wielka prawda! przytórzył Szarfensztejn z śmiechem ledwo nie głośnym. A że ksiądz proboszcz nie tego je i pije, dla tego nie tego także pracuje.

Nie — nie, panie hrabio! Tego wcale nie chcę powiedzieć. Miałem tylko na myśl, że, co prawda, nasz Jegomość tego pracuje, ale że za mało je, przez co blade i chudo wypatruje. Nie możemy go przyprowadzić do tego, aby był lepszej tuszy — a burmistrz ruchem ręki wskazał na swój dojrzałej objętości żywot. My mu najlepsze dajemy kąski — a on ich nieużywa, lecz rozdaje — a to nas martwi.

Pocieszajcie się! odpowiedział Szarfensztejn. Ubodzy, którym Jegomość wasz najlepsze rozdaje rzeczy, o to martwić się nie będą. A dla tego właśnie, że ksiądz proboszcz wasz takim jest niepoprawnym przyjacielem ubóstwa, wstawię się u księcia panującego.

Hrabia na znak pożegnania ukłonił się głową.

Bóg zapłać, Jaśnie Panie! zawołali wieśniacy, i lekko zgiąwszy kolana, odeszli.

Szarfensztejn, żyjąc tylko w sferach wyobraźni, a mało dbając na bieg rzeczy ziemskich, przeszedł się zamyślony po pokoju. Tkliwe to

przywiązanie i poszanowanie w czasach nieuszanowania dla wszelkich powag, niepopartych zewnętrznią siłą, żywy wzniciło w nim podziw.

Nienawiść na śmierć masoneryi przeciw Jezuitom doprawdy jest naturalna, rzekł. Wielki mistrz mówi słusznie, że nie powiedzie się, choćby niedowiarstwa zatknąć na ruinach ołtarzy, dopokąd ci najbitniejsi żołnierze kościoła wojującego istnieją. To gwałtowne przez żandarmów wypędzenie jest polityczne głupstwo. Przypadek ten obudza słusznie mą ciekawość. Muszę sobie miejsce tego szczególnego boju cokolwiek bliżej obejrzeć.

Ubrał się prędko w paletot, nakrył głowę i wyszedł o zmroku wieczornym na drogę. Naładowane wozy jechały z pól do domu. Jedni koło drugich przechodząc wołali na się to pozdrowieniem to krótkimi słowami. Dzieci niosły na głowie małe wiązki. Dorośli dźwigali ciężary większe. Wszędzie czynność najzwawsza. Nigdzie nie słyhać ani kłatwy, ani gniewu. Kończąca się praca całodzienna szła ku schyłkowi porządkiem punktualnym. To wszystko prawda powtarzało się tak codzień od przybycia hrabiego do Wetzelmheim, jednakże tego dotąd nie zauważył, mając oczy zamknięte na ruch wijski.

Na środku drogi stał wóz ciężko naładowany. Oba konie niechciały brać pomimo usiłowań woźnicy. Hrabia dziwił się cierpliwości człowieka, który nie kłął, ani zwierzał nie smagał biczem.

Kilku chłopów nadbiegło biedakowi na pomoc i zadało się do kół i drabek — ale nadaremno — konie niechciały ciągnąć.

Nie wiem wcale, co to dziś w tych szkach siedzi? zawołał woźnica. Przecież nie tak bardzo przeładowałem.

Jednakże troszeczkę, Kubo! rzekł drugi.

W tém z nagła zdjęto kapelusze i czapki z głów. Człowiek wysoki i czarny nadszedł do gronka.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Jegomość! odezwali się pozdrowieniem ludzie z uszanowaniem.

Na wieki! odrzekł uprzejmie Jezuita. No Pranter — czy to nie idzie?

Nie Jegomość! szkapy niechęć brać.

Bo myślą trochę odpocząć, rzekł na to Jezuita. My także robimy przy ciężkiej pracy — a to tu ciężko — bardzo ciężko, ciągnął dalej, wskazując na napiętrzony wóz.

Ja mu to zaraz mówił, że przeładował, — zrobił jeden chłop uwagę tonem lekkiej nagany.

Że przeładował? no! Pranter zna siłę swych koni i słusznie im wiele ufa, uniewinnił proboszcz. Ale to też wspaniałe rumaki — i poklepał konie po szerokiej szyi i pogłaskał ich grzywy. Konie zaczęły parskać, łbami wyrzucać i kopytami ryć ziemię. Ah, — widzicie, jak im się to podoba? zazartował pater. Jéno zawsze odda-

wajcie zasłudze nadgrode, to lekkim się stanie każdy ciężar.

Ledwo książd odstąpił od koni — a te same pociągnęły i szybko ruszyły ku domowi.

Czyście zauważyli tę mądrość naszego Jegomości? rzekło z podziwieniem pozostałe gronko wieśniaków. Tak on wszystko umie zrobić.

Gdzie też to Jegomość jeszcze idzie tak późno?

Do Michała, skrzynkarza, który leży konając a z sąsiadem pogodzić się niechce.

Michał był ci zawsze człowiek z upartą głową. Daj mu Boże szczęśliwe skonanie — a wieśniacy rozeszli się potem.

Hrabia stał był podsłuchiwał na boku, teraz poszedł dalej.

Jezuita widać jest rządzącym duchem gminy, a godzien nim być, myślał śpiegujący hrabia.

Zadzwoniono na Anioł Pański. Natychmiast po drodze głowy wszystkich odkryły się, bo głos kruszcowy z wieży kościelnej przypominał tajemnicę wcielenia Syna Bożego. Z wszystkich domów słychać było pozdrowienie Anielskie, mówione niekiedy donośnym głosem dzieci.

Szkoda, że tu nie są obecni panowie od kielni, aby litośnie potrząsali głowami nad pobożnemi — na ślepo wierzącego ludu zwyczajami, rzekł Szarfensztein. Mnie się zdaje, że lud któremu po trzykroć na dzień przypominają wcielenie się Boga i obowiązek — chodzenia w obec

Wszystkowiedzącego, lepszym jest od ludu, który w nic nie wierzy, ani w świętość Boga, ani w Boga wynadgradzającego za dobre — a za złe karzącego.

Przed niskimi oknami domu jednego stali ludzie, powiększej części niewiasty. Szarfensztein zbliżył się tam przez ciekawość i wejrzał do izby jasno oświetlonej. Stół przy ścianie był biało przykryty, między dwiema palącemi się świecami stał krzyż, przytém zapalony sztocek woskowy, (u nas w Polsce gromnica) i kościółek z święconą wodą. W łóżku leżał śmiertelnie chory mężczyzna, przy nim siedział Jezuita, dając zbawienną, przejmującą naukę. W swojej ręce trzymał rękę chorego i podsłuchując nachylał często głowę do ust jego. U stóp łoża klęczał młody człowiek, obiema rękami zakrywający oblicze. Dwie dorosłe dziewczyny i podstarzała niewiasta stały w strapieniu i smutku dokoła.

Co się tu dzieje? zapytał się hrabia po cichu.

Ach panie, to smutna sprawa! odpowiedziała starszka przy hrabim stojąca. Michał, skrzyniarz, ma umierać a Jegomość nie może mu dać Pana Jezusa.

A to czemu?

Bo Michał oddawna tchnie nienawiścią przeciw sąsiadowi. Przychodzi tu Jegomość od ośmiu dni codziennie po parę razy, aby Michała namówić, a Michał niechce. To bieda, kiedy kto taki zły i uparty.

Teraz zrobiło się w izbie poruszenie. Młody człowiek u stóp łoża podniósł się i przędko wybiegł.

Przecież nareszcie! odezwała się staruszka. Michał nareszcie znów stał się chrześcianinem.

Wszedł do izby człowiek — to sąsiad nieprzyjaciel. Wzruszony stanął przed łóżkiem, z którego się ku niemu wytykała wychudła ręka umierającego. Sąsiad uchwycił rękę i lewą ręką potarł swe oczy. Jezuita kilka powiedział słów, po których sobie pogodzeni nieprzyjaciele powtórnie podali ręce. Niewiasty pod oknami głośno szlochały. Także Szarfensztejn sceną tą poważną był wzruszony.

Ksiądz opuścił dom i pospieszył do kościoła.

Idzie po Najświętszy wiatyk, rzekł jeden głos. Dzięki Bogu! odezwał się drugi.

Hrabia powoli powrócił na gospodę.

Krótkiem tylko wejrzeniem podglądałem czynność Jezuity, a przyznać muszę, że mąż ten wybornie pracuje. Światłość walczy z ciemnością. Masoni muszą być podprzysiężonymi wrogami zakonu, który bez wytchnienia i mądrze posłannictwo swe wypełnia. Nigdy nie przyjdzie kielnia do panowania niezaprzeczonego, dopokąd krzyż bronionym jest przez odważnych i w boju doświadczonych wojaków.

Jezuita i Nowoprotestant.

Na drugi dzień z rana porwał się hrabia, z lekkiego snu porannego wystraszony, — bito na gwałt w dzwony. Trzy dzwony z wieży kościelnej żałośnie jęczały. Zewsząd lecieli wieśniacy. Szarfensztejn otworzył okno i szperał na próżno za podnoszącemi się kłębami dymu, aby odkryć miejsce pożaru. Nigdzie ani śladu ognia. Jednakże wszyscy mieszkańcy, mężczyźni, niewiasty, parobczaki, dzieci w jednym biegu kierunku, musiało przeto miejsce nieszczerścia być znanem.

Gdzie to się pali? zawołał Szarfensztejn na starca, który za kijem nogi mozolnie naprzód posuwał.

Nie pali się — żandarmi są, aby uwięzić naszego proboszcza.

Szarfensztejn głową pokiując cofnął się.

To zanafto! ganił. Masoni kiedyindziej tak przezorni tą razą wielce głupiego chwytają się środka. Jeżeli uczeń krzyża nie będzie mędrszym od synów kielni, to powstanie tu mord i zabójstwo. Chłopi księdza swego będą bronili kosami i toporami.

Tymczasem usiłował komisarz policyjny, który z miasta przybył z dwoma żandarmami, uciszyć dzwonięcie. Nim pobiegł do kościoła, usadowił żandarmów zupełnie niezręcznie na wysokości przed plebanią wystawie, aby mu Jezuita nie czmychnął.

Natychmiast tego dzwonięcia na gwałt zaprzestać! rozkazał komisarz ludziom przy linach.

Tylko dalej dzwonić, zawołał porządnie ubrany wieśniak, który tuż za komisarzem przybiegł. Jéno bijcie na gwałt—to nasze dzwony—gore!

Ja jestem komisarz policyjny, odparł urzędnik surowo. Jestem tu za rozkazem rejencyjnym i ponawiam me żądanie aby natychmiast zaniechać dzwonięcia na gwałt.

A ja jestem burmistrz tutejszy i powtarzam, abyście dalej bili na gwałt, odparł gniewnie i z oburzeniem przełożony miejscowy. Tu pan niczego nie masz do rozkazywania, a najmniej w kościele. Jak się zejdzie cała gmina, nataneczka umilkną dzwony — prędkiej nie.

Komisarz zaciął zęby. Ustąpił przed rezolutnym sołtysem i popędził na plebanią. Tam gniew jego zamienił się w cichą trwogę. Wielki dziedziniec przed plebanią, mur graniczny naokoło i ulica obsadzone były ludem. Zauważył dzikie spojrzenia i żarzące się oczy skierowane na się, kiedy wstępował po wschodach. Jeszcze jednak zachowywał się tłum spokojnie, lecz można już było poznać oznaki nadciągającej burzy.

Urzędnik policyjny stanął z wyrzutami przed księciem Józefem Eberszteinem, ojcem Jezuitą, wysoką, szczupłą postacią o bystrych oczach i łagodnych rysach twarzy.

Patrz pan na dwór, zawołał uniesiony zło-

ścią komisarz. To sprawka pana — ta otwarta rebelia przeciwko rządowi.

Przepraszam, panie komisarzu! odrzekł cierpliwie pater, jakim sposobem mogę ja być sprawcą tego zbiegowiska, nie mając żadnej o pańskim przybyciu wiadomości?

Pomimo to podszczułeś pan lud — podburzyłeś pan chłopów przeciw rządowi — i ztąd to nieposłuszeństwo takie — i ten bunt.

Mój panie, tych ludzi nie podszczułem ja na rząd, — rząd to sam uczynił przez ten gwałt, na jaki się zmysł prawy prostaków tych zżymać musi. Proszę być bez uprzedzenia.

Dzwony umilkły. W dziedzińcu odgrazające się szemranie, zapalone obruszenie się mężów, i postawa, która się komisarzowi zdawała wysoce groźną. Urzędnik przysłuchiwał się.

Naszego Jegomości wywlekać jakby złodzieja lub zbójcę? zawołał głos trzęsący się od złości. Tego nie pozwolimy wyrządzić sobie. On zostanie tu.

Gdyby nasz proboszcz był Judaszowskim jakim służalcem, krzyczał drugi, który masonom zdradza kościół i wiarę, toby im był prawy. Ale że to pobożny, sumienny ksiądz, którego każdy musi szanować, dla tego ma być wygnanym.

Przecież — że tak jest!

Nie ścierpimy tego — my zatrzymamy naszego proboszcza — on tu musi zostać — wołały mnogie głosy jedne przez drugie.

Urzędnik spojrział na burzliwy tłum i poznał niepodobieństwo aby przepark swoje.

Ubolewam ja nad tém zbiegowiskiem, rzekł książę Ebersztein. Jeśli pan jednakże zechcesz usłuchać mojej rady, to mnie będziesz mógł jeńcem uwięzić.

I co pan doradzasz?

Odpraw natychmiast żandarmów, których przytomność lud rozżala. Potém przemówię do moich parafian i z panem wsiądę do powozu.

To mądra rada, odrzekł komisarz, wyszedł i rozkazał żandarmom natychmiast opuścić wieś.

Odejście żandarmów uspokoiło. Groźby uciszyły się, pięści ściśnięte opadły. Na wschodach ukazał się ksiądz w sutannie.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Jegomość! przywitała go cała gmina.

Na wieki! mili parafianie! Nasamprzód dziękuję wam za wszystką miłość i czułość, którąście mnie, pasterzowi waszemu od trzech lat okazywali. Wy wiecie, że rząd przeciwko mej tutaj bytności podnosi dla tego wątpliwości, żem cudzoziemiec. Często rozkazywała mi władza świecka, abym ten urząd pasterski opuścił. Ponieważ atoli Pan nasz Jezus Chrystus nie władzę świecką upoważnił, opowiadać ewangelią świętą, sprawować święte Sakramenta, kościołem kierować i rządzić — lecz papieża, biskupów, kapłanów, a ponieważ posłannictwo nie od władzy świeckiej, lecz od kościoła mam, przeto nie opu-

ściłem téj drogiej mej trzódki, ani też opuszczę. Aby się jednak skończyły te niemiłe zatargi, mam zamiar, pojechać z panem komisarzem do miasta. Tam przedstawię rzecz naszemu najłaskawszemu księżęciu, który jest monarchą sprawiedliwym. Będę go prosił o rozkaz, aby mi w urzędowaniu tutajszém nadal nieprzeszkadzano. Czy wam się to podoba, mili parafianie?

Głębokie milczenie.

Wielmożny księże Proboszczu, zawołał jeden głos, jeżeli nam przyrzeczesz, że powrócisz, to zgoda.

Przyrzekam to, odpowiedział ksiądz statecznie. Wszedł na powrót do domu.

Każ pan komisarz teraz powozowi prosto przed wschody zajechać, aby dalszój niespokojności uniknąć.

Tak się też stało. Dzieci jednak, widząc proboszcza swego siadającego do powozu, wszczęły głośne szlochanie, któremu zaraz i dziewczyny i niewiasty zawtórowały, tak że powietrze napelnione było wzruszającym narzekaniem i bładaniem. Woźnica zaciął konie i powóz umknął przez opustoszałą wieś.

Przecież tak nie płaczcie! odezwał się Keler. Jegomość powróci, on to przyobiecał.

A jak go zamkną? odparła kobieta obawą trapiąca.

A bah! — tak daleko niedoszlśmy jeszcze! twierdził burmistrz. Przecież gmina, i lud może się ująć za nim.

Ludzie po mału rozeszli się. Tylko radzcy gminni, szerokiém otoczeni kołem bogatszych obywateli, pozostali w plebanii, rozważając i naradzając się. W tém drugi powóz zatrzymał się przed bramą. Zadziwieni niespodzianką mężowie ujrzeni w środku otworzonego powozu uniformę złotem wyszytą i właściciela jej, pana z rudym włosiem, wychodzącego plecami.

Jakoś mi się znany wydaje, mruknął Keller. Prawda, to jeden z tych czterech masonów.

za urzędnikiem wyszedł z karety duchowny, przez chłopów ostrémi i podejrzliwémi przyjęty spojrzeniami.

Dzień dobry, moi panowie! pozdrowił urzędnik uprzejmie. Cieszy mnie nadzwyczaj, że na plebanii zastaję tak dużą gromadę tutejszych obywateli. To, jeżeli się nie mylę, pan burmistrz.

Tak jest, jestem nim! a ci tu to radzcy gminni.

Wybornie, to szczęśliwy przypadek! zapewnił urzędnik. Ja jestem radzca rejencyjny Szleedorn, (Cierniewicz) i przybyłem za rozkazem rejencyjnym, abym tego oto czcigodnego pana w urząd wprowadził, by dobrze usposobiona gmina Welzelheim ani na chwilę nie była bez pasterza.

Ludzie stali cokolwiek przerażeni; nie umieli sobie téj rzeczy tłumaczyć.

Ale panie radzco! zaczął burmistrz, my mamy przecież pasterza. Przed godziną pojechał do miasta i jutro powróci.

Myli się pan burmistrz! odpowiedział z słod-

kim uśmiechem radzca rejencyjny i mistrz od stołu. Ten Jezuita nie powróci już nigdy.

Te ostatnie słowa były oburzające.

Co? oho! zawołali wieśniacy. To zobaczymy. Naszym proboszczem jest Wielmożny ksiądz Ebersztein, inszego nie chcemy.

Ebersztein to na nieszczęście cudzoziemiec, odrzekł, ramionami ruchając, radzca rejencyjny. Tutaj przedstawiam panom pobożnego duchownego, którego czynność z pewnością gminie przyniesie błogosławieństwo.

Przedstawiony ukłonił się, uśmiechnął się słodko, zresztą nie zdawał się wieśniakom podobać.

Jak się pan nazywasz, jeśli wolno się pytać?

Ja się nazywam Sztechapfel (Pinderyndowicz), odrzekł mąż w sutannie.

Jak, Sztechapfel? zawołali wszyscy odskakując.

Nie jesteś to pan czasem ów nowoprotestancki Sztechapfel, o którym się już nie jedno czytało w gazetach? zagadnął radzca gminny Ewald.

Nowoprotestancki nie jestem, — lecz starokatolicki, odpowiedział Sztechapfel.

No, już dobrze — to ten! odezwał się Keller. Wie pan Sztechapfel, to co pan nazywasz starokatolicyzmem, to my katolicy wszyscy nazywamy nowoprotestantyzmem. My także wiemy, dla czego najnowsi kacerze to miano starokatolicyzmu wynaleźli, a to na to, aby ludziom piaskiem zapruszyć oczy, jakoby oni, to jest kacerze

najnowsi, utrzymywali starą katolicką wiarę, a papież, i biskupi i księża katolicy i wszystkich katolicki lud, jakoby byli odpadli od starej wiary. Właśnie tak samo postąpił sobie Luter pierwszy protestant. Zarzucił on papieżowi i biskupom, jakoby byli od starej nauki odstąpili, a że on, Luter, zatrzymał niby starą i dlatego jest starokatolikiem. To samo znowu się powtarza dzisiaj — dla czego też mataczy tych nie nazywamy starokatolikami, lecz nowoprotestantami.

Bardzo boleję nad takiem waszém pomięszaniem wyobrażeń, odparł pobożnie Sztechapfel. Z Lutrem, błędem i kacerstwem nie mam ja żadnej spółki. Ja statecznie i czysto zachowuję starą wiarę katolicką.

Tylko posłuchaj, panie Sztechapfel, muszę go się jednej rzeczy pytać, wszczął Keller, czapkę na bakier nasuwając. Czy wierzysz pan, że papież jest nieomylny, kiedy którą naukę w rzeczach wiary lub obyczajowości wykląda i tłumaczy, jak ma być rozumianą.

Nie, w to nie wierzę, bo w to nie wierzono nigdy, odrzekł Sztechapfel.

Nigdy w to nie wierzono — to macie — zawołali naśmiewając się chlōpi.

Dozwólcieź tylko bracia! Jeszczem nie skończył, powiedział Keller. Więc czy pan Sztechapfel myśli, że się papież i biskupi omylili, kiedy taką na soborze ustanowili naukę?

Naturalnie, że się omylili, bo wprowadzili nowość, oświadczył Sztechapfel.

Ha — ha! To wielkie dziwo! odezwali się chlōpi.

Przecież nie wyśmiewajcie się ludzie! — to nie do śmiechu, rzekł Keller, czapkę jeszcze bardziej nasuwając. Niechże jeno pan Sztechapfel posłucha dalej. Mógłbyś mnie pan, mając przecież naszym być pasterzem, oświecić zaraz w jednej rzeczy, której nie pojmuję. Pan Bóg nasz oto ustanowił w kościele swym nieomylny urząd nauczycielski, za nim wstąpił na niebiosa. Ze ten nieomylny urząd nauczycielski musiał ustanowić, to mi jasno; boby ledwo był pięćdziesiąt lat w niebie, toby już ludzie uczeni na ziemi byli do gruntu zfałszowali i przewrócili jego naukę. Nieomylny urząd nauczycielski był przeto potrzebny, aby ludziom zawsze powiadał, co jest Chrystusa nauką — a co nie. Temu nieomylnemu urzędowi przyrzekł też Pan nasz i zesłał Ducha św., aby przy nim był do skończenia świata i na wszelką go naprowadzał prawdę. Teraz więc ten urząd nauczycielki, to jest papież i biskupi, oświadczył, że głowa kościoła jest nieomylną, kiedy na cały obszar ziemski rozsądza lub orzeka co do właściwego sensu którego artykułu wiary lub obyczajowości. Teraz przychodzi to, czego nie pojmuję. Wy nowoproteſtanci bowiem twierdzicie, że to nie prawda. A jeśli to nie prawda, to się urząd nauczycielski omylił. A jeśli się

ten omylił, to też skłamał Pan Bóg. Jak się to rymuje, panie Sztechapfel?

Radzca rejencyjny i jego klient byli tém rozmowaniem zaskoczeni.

Jesteście mądrze pouczeni, rzekł Szleedorn.

To pochodzi ztąd, odpowiedział burmistrz— że mamy dzielnego i gorliwego dusz pasterza. Wszak pan radzca nie jest nowoprotestantem.

Uchowaj Boże! Ja się mocno trzymam pierwotnej nauki mego świętego katolickiego kościoła, jestem zatem ścisły katolik.

Temu ja nie wierzę! odezwał się Keller z osobiwszém światłem w oczach. Pan jesteś wolny murarz. Chociażes ogolił brodę i wąsy, znam pana jednak. Wszakżeś pan wczoraj był pod ptaszą górą z trzema innymi masonami? Czyście nie postanowili: że albo kielnia albo krzyż? Czyście nie powiedzieli, że ani Boga nie masz, ani djabła, ani nieba, ani piekła?

Mylicie się co do osoby, odparł urzędnik z wymuszeniem i przerażeniem.

No to nie szkodzi! zawołał Ewald. Nie potrzebuje się Pan radzca tém frasować! My dawno wiemy, że nowoprotestanci w żadną religią nie wierzą. Którzy to są najgorliwsi nowoprotestanci? Toż właśnie ci ludzie, którzy nigdy nie chodzą ani do spowiedzi, ani do komunii św. Płaszczyk starokatolicyzmu wzięli na się, aby tem bardziej szczuć i burzyć mogli przećwiko kościołowi katolickiemu.

Dosyć tego, zawołał urzędnik, który odzyskał przytomność. Nie jestem tu, abym się wystawiał na niezręczne zaczepki, lecz abym tego czcigodnego pana wprowadził w urzędowanie.

To zbyt uczciwa! odezwali się mężowie. Tego nowoprotestanta weź pan zaraz znowu z sobą— my go nie chcemy.

My nie jesteśmy w Bawaryi, przemówił burmistrz. My trzymamy z papieżem i biskupami— nieomylni professorowie u nas niczego nie znaczą. My w ogóle w żadnego nie wierzymy nieomylnego człowieka; bo i papież sam z siebie nie jest nieomylny, a profesorom Duch św. ani był przyobiecany, ani zesłany.

Panie burmistrzu! rzekł radzca rejencyjny. Ja czynię cię odpowiedzialnym za bezpieczeństwo i urzędowy wpływ tego proboszcza Sztechapfel.

Za urzędowy wpływ? Coby to miało znaczyć? zagadnął przełożony gminy.

Masz staranie mieć o to, aby cała gmina swemu proboszczowi Sztechapfelowi oddawała poszanowanie i posłuszeństwo.

Przebóg, to pan radzca zanadto się domaga, zawołał burmistrz. My tu jesteśmy katolicy, wierni katolicy. A przeto Sztechapfela jako nowoprotestanta potrzebować niemożemy. Czyż pan radzca myśli, że ludzie w rzeczach religii na komendę słuchają? Czyż mniemasz, że religią wbić i wybić można kijem policyjnym, jak właśnie panom na myśl przychodzi? Nie — za to nie

będę odpowiadał. A to panu z góry oznajmiam: że jak ten nowoprotestancki Sztechapfel tylko przestąpi próg kościoła, wszyscy ludzie z niego puciekają.

W minie Kellera można było poznać do-
weipną myśl. Dał burmistrzowi po kryjomu znak.

Ja myślę, rzekł, że, ponieważ pan radzca rejencyjny tu przybył na umyślnie, moglibyśmy ze Sztechapflem poprobować. Tymczasem, rozumiem. mógłbyś pana Sztechapfła wprowadzić do plebanii.

To mądre słowo, pochwalił Szleedorn. Pójdźcie panowie!

Pod przewodem urzędnika znikli Sztechapfel i burmistrz w plebanii.

Keller pozostał i przemówił gorliwie z ludźmi i kółko głuchemi wybuchało śmiechami.

Ledwo co radzca rejencyjny wsiadł do powozu z powrotem, kiedy Keller i Ewald ukazali się przed Sztechapflem.

Myśmy rzecz tę dojrzałe rozważyli, — to jednak nie pójdzie, rozpoczął Keller. Jak się to rozgłosi na wieś, że tu nastał starokatolicki nowoprotestant, powstałby straszliwy rumor. Obrusziliby się ludzie do żywego na wymaganie, aby ich dusz pasterzem był człowiek, który nieomylniejszym chce być od papieża i biskupów, a to człowiek, który pozostaje pod klątwą. Aby przeto zapobiedz nieszczęściu jakiemu, niech pan natychmiast wyruszy.

Ja protestuję — ja zostaję! zawołał Sztechapfel.

Protestować pan może dowoli, a nawet panu z tém ładuie, boć jesteś nowoprotestantem, odrzekł obojętnie wieśniak. Ale zostać nie możesz.

Rząd mnie tu przysłał na proboszcza, ja utrzymuję się na prawnie zajętem stanowisku — odparł wyklęty.

Ba! — rząd? To paplanina nowoprotestancka. Gdybyś pan był katolikiem, to wiedziałbyś, że rząd zgola niema prawa, rozdawać urzędy duchowne. Urzędy duchowne pochodzą od kościoła tylko. A więc, marsz! Gdzie pański kapelusze?

Ja protestuję stanowczo — to gwałt.

Weź tu pan kapelusze. Teraz pytam się, czy pójdiesz dobrowolnie?

Nie, ja nie pójdę!

Dobrze — to będziemy mu przez wieś towarzyszyli, rzekł Keller i wsunął rękę pod rękę Sztechapfła, kiedy i Ewald z drugiego boku tak samo go uchwycił. Nadaremno opierał się intruz. Obaj silni ludzie wyprowadzili go z domu, przez dziedziniec i wieś. Wesselhøjmanie stali tam i sam i śmiali się z dziwnego widowiska.

Kogo tam macie, spytał się jeden przechodzący.

Mamy tu starokatolickiego protestanta, który się tu z Bawaryi zabłąkał. Teraz pokazujemy mu drogę za wieś.

Co tam robicie? wołał niby od przerażenia

drugi. Przecież ręką świętokradzką nie dotkniesz się duchownego?

Przebóg, że nie, odpowiedział Ewald, my tylko wilka wypędzamy, który się zakradał w owczęj skórce.

Kawał za wsią stanęli mężowie.

Tak, panie Sztchapfel — idź teraz sobie dalej, rzekł Franciszek Keller. Jeśli pragniesz być drugi raz wytranszportowanym, to znowu wleź — będzie to nas bawiło. Jeśli pan jesteś księdzem rzeczywiście wyświęconym, natenczas przepraszaamy duchowną osobę. Pańskiej osoby nie przepraszaamy, bo równa się ona na włos arcy-szelmie Judaszowi. Panom w mieście chciiej powiedzieć, że we Wezelhéjm zatrzymamy krzyż — a kielnią murarską niechby sobie zatrzymali. Adiu!

P o m o c.

Z wieży zamku powiewa na wysokim drągu flaga, — panujący jest obecnie.

Cisza wiejska zalega nad parkiem przed domem książęcym. Między drzewami przechadza się pan w najlepszych będący latach. Dobroć z rysów jego przemawia i w ciemnych oczach błyska wyraz nieomal porywający. Rad zdaje się wybiera najsamotniejsze parku ustronia. Często stawa w zadumaniu, wpatruje się w leśne kwiaty, mchy lub potężne pnie wyniosłych dębów. W tém słyhać pośpieszne kroki po zwirze drogi, pro-

mień radości ożywia oblicze pana, ręce rozkłada i do piersi przyciska hrabiego Szarfenszteina, kładąc pocałunek na jego czole.

Znowu cię nareszcie mam mój Adolfie! Jakis to wspaniały, jaki to czerstwy i wesoły jak na wsi!

Niech to nie zadziwia Waszégj Królewskiégj Wysokości! Piję wodę i jem perki z kwaśném mlekiem, rzekł śmiejąc się hrabia.

Szli ręka w rękę. Obaj byli z sobą blisko spokrewnieni i książę, jako wielbiciel sztuki, cenil w tym krewnym zarazem poetę bogato obdarzonego.

Na jak długo uwolniesz się od trosk panowania? pytał Adolf.

Na dwa tygodnie, — to krótki czas! Ale i tu jeszcze poszukują panującego, muszę dawać posłuchania.

Musisz?

Tak — o ile się wpływowe potęgi uwzględnienia domagają, odrzekł książę. Oto Wielki mistrz łoż krajowej ma mi podać adres — za dwa dni — zdaje mi się.

Wielki mistrz? To wyśmienicie! zawołał hrabia, tękę swą z podpachy wyjmując. Te karty tu opowiadają rzecz piękną i brzydką. Jedną i drugą chcieć przed monarchą zataić, zdradą byłoby i nadto z mej strony grubém nadwergieniem obowiązku przyjacielskiego.

Czyś to jaką nową sztukę dla teatru napisał?

Tak — tak — ale przepisałem! I ty w niej

w obec Wielkiego mistrza na scenie występujesz — czy wolno czytać?

Bardzom zaciekawiony.

Szarfensztejn dał ustny wstęp, opisując kryjówkę w lesie i rozmowę u swych stóp kółka masonskiego. Potém czytał — książę słuchał z nierozzerwaną uwagą. Głowę jego monarszą okryła powoli ciemna chmura.

Dziękuję ci za ważne te wiadomości, rzekł monarcha, kiedy Szarfensztejn skończył. Tak więc było — że ten ograniczony człowiek nie rządzi, lecz nim rządzi. To coś oburzającego!

To coś niegodziwego — podłego — nikeczmego — prawdziwie masonskiego, uzupełnił hrabia.

Ci to masoni właśnie bez ustanku wyznawają się najpoddaszymi sługami korony, rzekł gniewnie książę. Bez wytchnienia powstawają przeciw niebezpiecznym dla państwa zamiarom Rzymu i przeciw chytrym zamysłom ultramontanów.

A biorąc rzeczy właściwie, odrzekł Szarfensztejn, to właśnie mężowie z kielnią i fartuchem skórzanym podkopują powagę korony — oni to monarchę w obec ludu czynią nienawistnym — uczucia najświętsze poddanych znieważają i obrażają — a to czynią w ubiorze książęcego urzędnika. Jeden tylko przytoczę przykład — i opowiedział hrabia gwałtowne wypędzenie Jezuity i sprawę mieszkańców wsi Wezelhéjm.

Książę siedł kawał w zadumaniu.

Uciśnionym wymierzę sprawiedliwość, winnym karę, rzekł i zawrócił kroki ku zamkowi.

W dwa dni potém szli radcy gminni w odzieży odświętnej ze wsi, a za nimi życzenia wszystkich mieszkańców. Burmistrza na czele mając, szli odważnie drogą ku siedzibie panującego. Im bliżej im się ukazywały szczyty wysokiego domu książąt, tém bardziej zwolniały kroki mężów, bo to nie mała rzecz dla pocziwych poddanych, stanąć przed obliczem monarchy.

Jerzy! spraw się dobrze! napomniał Ewald burmistrza.

Tak, jak tylko będę umiał, tylko mi pomagajcie, i przełożony gminy otarł pot z czoła.

To były ostatnie tych ludzi słowa. Skromnie szli gankiem parku, nasypałym ładnie zwirem, na którym znać było ślady stóp panującego. Szli pomiędzy poóółkami krzakami, potém między wysmukłými dębami. W tém z ganku pobocznego wyszedł ku nim Szarfensztejn. Spozstrzegł nieśmiałość tych ludzi, uprzejmie ich pozdrowił i postanowił otuchy dodać zawachanym.

Gmina Wezelheim widać bardzo przyrosła do serca najłaskawszemu monarsze, tu bowiem książę tylko książąt i miłych przyjaciół przyjmuje, rzekł hrabia mądrze. Dla tego prosto od serca mówcie. Książę lubi otwartość i prostotę. Tymczasem, moi ludzie, wielkie zachodzi pytanie, czy wam książę będzie mógł dopomódz — to

jest dopomódz na zawsze. Jeden tylko jest środek skuteczny na zawsze.

Jak to Jaśnie Panie! rozumiecie? zapytał się Keller.

Ja to rozumiem tak, że masoni i współpracownicy ich liberały uchwalili zagładę religii. Pracują oni nad nią od wielu lat — a nie bez skutku, bo już nie jedno im się powiodło. W wielu miejscach już duchownych na pół ze szkół wyrugowali, aby dzieci, ile można, wychowane były bez nauki religii. Formalne obławy robią na sumiennych biskupów i proboszczy. Obecnie biorą się do tego, aby znieść Jezuitów, bo to kapłani bardzo dzielni, bardzo w powołaniu żarliwi. Po Jezuitach przyjdzie kolej na inne duchowne zakony, potem na seminaria, potem na biskupów i proboszczy, aż naostatku wcale zniosą kościół. To wszystko wprowadzić tyrania do nieba wołająca i prawdziwa dla niemieckiego imienia sromota — lecz cota robić? Tyrani własnięsą potężni.

No temu ich rzemiosłu już nasz Najjaśniejszy położy koniec, rzekł burmistrz.

Mylicie się, odparł Szarfensztejn. Książę nie wszystko może. Poprzysiągł on konstytucją i zachować ją musi. Jeżeli więc reprezentacja kraju Izby — układają bezreligijne prawa, to je książę koniec końcem potwierdzać musi. Jedno tylko pomoże — jedno!

A to by było, jeżeli wolno zapytać się Jaśnie Pana?

To rozsądny wasz współudział w wyborach

do izb i do sejmu niemieckiego. Posyłajcie do Izby i do sejmu całego państwa bogobojnych i religijnych mężów, na ten czas religia wasza nie będzie uszkodowana i dobre dostaniecie prawa. Czemu obecnie masoni wszędzie panują — po izbach, po ministerstwach, w rządzie — zgoda wszędzie? Kto tego przyczyną? Lud. Tak jest — lud zlecił panowanie najgorszym swym wrogom. Gdyby się lud katolicki przy wyborach był wziął w kupę i wypełnił powinność, toby masoni i liberałowie nie byli zaplanowali. A jeżeli teraz nieprzyjaciele religii moc swą obracają na zniszczenie kościoła i zagładę wiary religijnej, toć to naturalna, i nikt w tém niewinien, tylko bezmyślność i opieszałość ludu.

Ma w tém pan hrabia zupełną słusność, powiedział burmistrz.

Przy najbliższych wyborach będzie inaczej, zapewnili wszyscy.

Miejmy nadzieję! rzekł na to Szarfensztejn. Zachowajcie w pamięci to hasło: Jedno tylko pomoże, a to prawe wybory do izb i do sejmu całego państwa. To jedno pomoże — a to zależy zupełnie od was. Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. Bezsumiennych ludzi, którzy ani w Boga, ani we wieczną nie wierzą zapłatę, tych mało obchodzi, czy wydrą ludowi religią, czy nałożą mu ciężkie podatki — czy zamienią wolnych mężów w płacących i opieki prawa pozbawionych niewolników.

Wszyscy skinęli potakująco głowami.

Ach! żebyśmy nigdy nie byli zawierzyli pieknym słówkom liberałów i kłamliwym ich gazetom! zawołał Ewald. Trzeba przyznać, iż rzeczywiście lud głupi i okłamać się daje i oszukać.

Czas wielki, aby zmądrzeć, napomniał hrabia.

Wyszli z parku i stanęli przed zamkiem.

Widzicie tam pod wystawą owego człowieka z łaską urzędową w ręce? Powierzcie mu się, on was poprowadzi.

Szarfensztein ukłonił się i powrócił do parku.

Posłuchanie u monarchy.

W sali audyencyyjnej stało trzech panów w żywej rozmowie, Wielki mistrz, i dwóch mistrzów od stołu, t. j. dyrektor powiatowy i profesor uniwersytecki. Przez piersi na jedwabnych wstęgach zawieszono mieli rozmaite krzyże honorowe, ubrani byli w przepisany frak urzędowy. Panowie ci zdawali się na tych pokojach bardzo być poufałymi, bo brali się bez przymusu i swawolnie. Mianowicie zdawało się dumie nadradczy sądowego schlebiać, że jest wielkim mistrzem najpotężniejszego na świat zakonu. Postawa jego bynajmniej nie pokazywała, że jako podwładny urzędnik skromnie wyczekuje ukazania się monarchy — lecz pysznie podnosił czoło, w dobrą wierzę w potęgę swą i dostojeństwo.

Tutaj dziś nie wszystko po staremu, rzekł

patrzac na zegarek. Już kwadrans upłynął nad oznaczony czas, tak naprzeciw Wielkiego mistrza nigdy nie postąpił.

I mnie jakaś nadzwyczajność uderza, przywodził dyrektor. Tam za stołem stoi krzesło tronowe; Przy posłuchaniach książę nie siada — dla czego dziś to pospionowanie ceremoniału? Przed krzesłem stół, na stole dzwonek — co to wszystko ma znaczyć?

No, pan miewa humory, odrzekł urągająco siwy, kładąc pismo na srebrnej tacy, postawionej na stoliku osobnym.

W tém rozsunęły się podwoje i wszedł monarcha poważny i pełen godności. Postąpił aż do krzesła tronowego, oparł na niem lewą rękę i spojrzał surowo na zgięte karki urzędników. Żaden uśmiech łaskawości nie rozjaśnił jego rysów i na ukłony podług sposobu wschodniego oddane ledwo odpowiedział lekkim pokłonieniem głowy.

Najoświecwszy, najłaskawszy książę! rozpoczął Wielki mistrz. Nie uszło niezawodnie bystrości politycznej Waszjej Książęcej Wysokości głębokie poruszenie, które obecnie istnieje w całym państwie niemieckim, jako i w tym kraju, który to szczęście ma, ulegać sprawiedliwemu i mądrymu berłu Waszjej Książęcej Wysokości. Zagrożająca państwu najwyższém niebezpieczeństwem nieomylność papieżka, wymyślona, aby książąt i ludy nagiąć pod moc Rzymskiej duchownej niewoli, ogólne wywołała oburzenie. Wszędzie

tworzą się związki i odbywają się zgromadzenia ku odparciu tego zamachu Rzymskiego. Także w Monachium i Darmsztadzie rokowali w tej samej myśli najuczeńsi i najbystrzejści mężowie Niemiec. W obu miastach postawiono rezolucye, które Wasza Królewska Wysokość najłaskawiej niechaj raczy wziąć pod rozwagę.

Książę wziął adres w milczeniu z tacy i położył go na stole.

Dozwoli Wasza Królewska Wysokość najłaskawiej, nadmienić sobie, rzekł dalej Wielki mistrz, że na rokach w Darmsztadzie szczególnież Jezuita zostali uznani za najszkodliwszych podburzycieli i najczynniejszych Rzymu posługaczy przeciw Germanizmowi (Niemczyźnie). Ponieważ w kraju Waszjej Królewskiej Wysokości towarzystwo Jezusowe także jest dozwolone, przeto w interesie kraju i politycznego dobra poważamy się najuniżniej prosić, aby Wasza Królewska Wysokość nakazać raczyła, aby u nas rzeczzone towarzystwo Jezusowe istnieć przestało.

Czyś jest katolik, panie nadradzco sądowy? spytał książę.

Szczery katolik — do usług Waszjej Królewskiej Wysokości — szczery katolik, odpowiedział mason. Ja trzymam się ściśle starodawniej nauki mego świętego kościoła katolickiego i opieram się z wszystkich sił nowościom wiary, wprowadzonym na ostatnim soborze.

Prośba Pańska o zniesienie Jezuitów ma

zatem pewny pozór słuszności za sobą, bo mówisz jako katolik w interesie domowym, powiedział książę. Ale jakim prawem takie zgromadzenie protestanckie w czysto kościelnych i religijnych rzeczach katolików przemawia, tego całkiem nie rozumiem. Katolicy także odbywają zgromadzenia, nigdy jednak nie doczytałem się, aby na katolickich naradach rozprawiano o czysto kościelnych sprawach protestantów. Znam rezolucye na obradach protestantów w Darmsztadzie zapadłe, i ubolewam nad niemi, bo są tego rodzaju, że katolików ciężko dotykają, spokojność zaburzają i rządowi ciężkich przyczyniają kłopotów. Stowarzyszenie Gustawa Adolfa (*zbiera składki na założenie kościołów i szkół protestanckich*) przypomina panom, że niemieccy protestanci za czasów dawnych połączyli się przymierzem z obcymi zdobywcami i podburzycielami naszej ojczyzny przeciw Cesarzowi katolickiemu Niemiec. Nieprzyjazne postępowanie lub może zakusy nawet celem uciskania katolickiego kościoła z strony państwa mogłyby zatem konsekwentnie zmusić i katolików niemieckich, złączyć się z zagranicznymi sprzymierzeńcami przeciw protestanckiemu Cesarzowi Niemiec. Lud wierny nie potrzebuje w tém prosić przebaczenia, jeżeli Boga i religiją wyżej ceni nad tyranią we własnej ojczyźnie go dręczącą.

Masoni zatrwożyli się. Z tej strony jeszcze księcia nie zapoznali.

Napomknęliście panowie o rezolucjach w Monachijskim pałacu szklannym zapadłych, które wymierzone są przeciwko Jezuitom, rzekł dalej monarcha. Czyż możecie obstać za ciężkie te Monachijskie oskarżenia Jezuitów?

Z najgłębszym przeświadczeniem, odpowiedział Wielki mistrz z pokłonem.

Książę usiadł w krześle i wéjrzał w pismo. Mężowie kielni spojrzeli znacząco po sobie.

Panujący winien być sprawiedliwym, nie winien służyć stronnictwu, wziął znowu książkę mówić. Żądacie zagłady mężów, których tysiące moich poddanych wysoko cenią i czczą. Jest tu rada gminy Wezelheim we dworze, aby wyprosić wprowadzenia w urząd na powrót wydalonego swego proboszcza, patra Jezuita. Jeśli po wysłuchaniu tych ludzi nabędą przekonania, że czynność Jezuitów zgadza się z Monachijskiemi rezolucjami, natenczas nie będę od tego, abym nie miał brać pod rozważę zniesienia towarzysztwa Jezusowego. W przypadku przeciwnym niech sprawiedliwość pójdzie swym torem.

Zadzwoń! Podwoje w dolnym końcu sali roztworzyły się i zginając kolana, w uklonach nie zgrabnych i w ciężkiej trwodze weszli burmistrz i radczy Wezelheimscy. Książę wstał i zmienioną zupełnie przybrał postawę. Zimna surowość ustąpiła z jego miny i przy łaskawém pokłonieniu głowy zbliżył się do zafrasowanych.

Ach, panie burmistrzu! jak mnie to cieszy,

że was znowu widzę! rzekł rękę przełożonego gminy ściskając. Wcaleście się wciągu roku nie podstarzeli—zawszeście młody i czerstwy. Jakże z forełami (*gatunek ryb smacznych*)? Czy znowu będę je widywał na stole?

O najłaskawszy Panie, odrzekł z uśmiechem od uszczęśliwienia burmistrz, cała gmina dla Was łowi forele.

Jak mnie to cieszy! przyznał książę. A mały wasz chłopczyna kędzierzawy z grubemi okrągłemi policzkami? zapewne już znaczną podrósł?

O dwie stopy w tym rokn. Nie poznalibyście go przenigdy, Najjaśniejszy!

Radzcy gminni uśmiechnęli się skromnie. Łód był złamany.

Radzibyście więc waszego dusz pasterza, patra Jezuitę mieli na powrót? zagadnął książę uprzejmie, siadając w krześle. To ładnie - prośba ta przynosi wam zaszczyt. Parafianie winni czcić godnego pasterza. Lecz mili ludzie, rzekł dalej w swęj dla ludu przystępności, w tém pewne zachodzą trudności. Utrzymują bowiem, że Jezuita są ludźmi niebezpiecznymi dla państwa świeckiego, że nauczają zasad moralności szkodliwych. Pomawiają ich dalej o rozszerzanie antinarodowych, postępowi nieprzyjaznych dążeń, że przeto szkodliwej ogółowi czynności zakonu tegóż należy położyć koniec. Tak opiewa dosłownie to pismo.

Wieśniacy spoglądali jeden na drugiego.

Widocznie, że z tych oskarżeń ani słowa nie pojmowali.

Raczie darować, Najłaskawszy, na to my nie mamy rozumu, rzekł burmistrz. Wiemy prawnie, że dość jest ludzi, co Jezuitom nie sprzyjają i radziby ich znieśli do szczeru—szczególniej masoni. Lecz, Najjaśniejszy Panie, naluździ tego rodzaju nie zważajcie. Ten sam rodzaj ludzi już i Pana Boga naszego oskarżał, że burzył lud, że niebezpieczny dla państwa, że zatem do krzyża przybić go należy. A gdyby Pan Bóg dzisiaj jeszcze raz przyszedł w postaci ludzkiej na świat, nie znalazliby masoni miru, póki by go znowu nie ukrzyżowali.

Księżę rzucił lekkim spojrzeniem na zarumienione twarze masonów.

Pytam się na wasze sumienie, badał monarcha z łaskawą powagą, czy wasz pater Jezuita nie opowiadał nigdy nauk niemoralnych?

Na miłego Boga, Najjaśniejszy! zawołał burmistrz żywo. Niemoralne nauki — nasz Jegomość? Ten taki, jak święty w niebie i właśnie co jeno całą gminę świętą uczynić ma. Jeśli się gdzie kryje parka, nie złączona ślubem kościelnym — to Jegomość nasz nie spocznie, póki oboje nie zaprzestaną życia występnego i nie wstąpią do stanu małżeńskiego. Jeśli gdzie są nieprzyjaźnie, procesa, kłótnie, to Jegomość chodzi a chodzi, dopóki się ci ludzie nie pogodzą. Jegomość jest więc jakby Anioł dla gminy. Da-

wniej bywały między nami nieprzyjaźnie na śmierć, niepokoje, bijatyki, hałasy bez liku — dziś nastaje cisza i spokój — a to zawdzięczamy ojcu Jezuiście.

A jakich starań dokłada nad dziećmi, Najłaskawszy! to trudno powiedzieć, dodał Keller. Codzień chodzi do szkoły. Dzieci też ogromnie go kochają. Dawniej potrzebowali rodzice z rana i wieczorem dzieci przynaglać do pacierza, teraz go same mawiają. A jakie to teraz dzieci posłuszne! bo też im Jegomość skutecznie i do serca wyklada czwarte przykazanie.

Czy wasz Jegomość ani jednego nie ma nieprzyjaciela w gminie? zapytał księżę.

A ma, Najjaśniejszy! ma nieprzyjaciół — a to trzech gałganów, trzech arcybijaków, ci to go nie cierpią, odpowiedział burmistrz.

Widzicie, moi panowie, zwrócił się monarcha do urzędników, że się wasza skarga na Jezuitów żadną miarą nie potwierdza.

Ten Jezuita, czynny w Wezelhém, stanowi może wyjątek z całego zakonu, odparł Wielki mistrz.

Tu Franciszka Kellera zaświerzbiał język. Miał oczywiście ochotę, coś powiedzieć, lecz nie śmiał.

Darujcie, Najłaskawszy panie! że powiem, jego mi się skargi na Jezuitów wydawają dziwnymi, zaczął Ewald mówić. W biblii stoi, że żydzi Zbawiciela zawlekli przed arcykapłana

i tam go mocno oskarżyli. A kiedy się Zbawiciel bronił, uderzył go kat w twarz. Na to powiedział Zbawiciel: Jeślim źle powiedział, daj dowody, jeślim dobrze powiedział, na co mnie bijesz? Tak samo jest z Jezuitami. Jeśli Jezuita istotnie dopuszczają się tych wszystkich niegodziwości i nieczności, jakie im nieprzyjaciele zarzucają — dobrze — to niech im wytoczą proces — niech ich stawiać przed sądem, aby byli karani podług prawa. A jeśli Jezuitów o niczem złem przekonać nie można, czemu tedy nie przestają ich spotwarzać, prześladować i traktować jakby złodzieiów i morderców?

To uwaga bardzo dobra i słuszna, wyznał książę.

Ja to Najjaśniejszemu wyjawić mogę, jacy to ludzie najbardziej nienawidzą Jezuitów — są to masoni, wyrwał się nareszcie Franciszek Keller. Nie dawno temu masonów tam pod górą ptaszą podsłyszałem. Byli tam ci trzej i jeden jeszcze. Ten tam z siwą brodą powiedział, że ich hasłem jest: kielnia albo krzyż. Potem wszyscy razem powiedzieli, że religia Jezusa Chrystusa musi być wyrugowaną, że Jezuitów, jako najlepszych opowiadaczy chrześcijaństwa, najpierw znieść potrzeba. A potem powiedzieli, że jak rozwalą ołtarze, rozwalą także trony. A co jeszcze powiedzieli, Najjaśniejszy Książę! to zamilczę, aby Was nie martwić.

Panujący rzucił milcząc spojrzeniem najwyższej niełaski na urzędników.

Czyby Wasza królewska Wysokość nie dozwoliła, abyśmy się oddalili? rzekł Wielki mistrz.

Zostaniecie. Jeszcze rzecz nie skończona! rozkazał monarcha.

Najjaśniejszy! patrzcie jeno raz oknem, jeśli łaska, prosił burmistrz.

Książę wysłuchał prośby i zobaczył u stóp pagórka zgromadzoną całą gminę Wezelhejm — mężczyzn, niewiasty, dziewczyny, parobczaków. Dużo ich klęczało na ziemi. Ten widok zrobił jawne wrażenie na pana.

Cała gmina z nami prosi, Najjaśniejszy! abyście nam powrócili kochanego, dobrego, pobożnego ojca Jezuitę, objaśnił burmistrz.

W tej chwili zjawił się sługa gabinetowy i oddał księciu popisany arkusz papieru.

Bardzo pożądaný — niech wnijdzie natychmiast, rozkazał monarcha.

Wieśniacy stali, słuch wyteżając. W przedpokoju odezwał się głos proboszcza i teraz tenże wszedł rzeczywicie do sali, najlaskawiej przez księcia przyjęty. Obecność tylko samego Najlaskawszego przeszkodziła głośnemu okrzykowi wieśniaków, których twarze błyszczały i promieniły się od radości.

Towarzystwo Jezusowe odznaczyło się w ostatniej wojnie chwałą godną czynnością, zaczął książę po niektórych grzecznościach. Wielu Jezuitów było na teatrze wojny?

Niemal wszyscy, t. j. 188, odpowiedział pa-

ter księciu. Starsi towarzystwa członkowie pielęgowali rannych po naszych domach, bośmy w czasie wojny mieli po wszystkich domach zakonu urządzić dla chorych i rannych szpitale.

To tedy nie dowodzi dążności antinarodowych, rzekł książę, zwrócony do urzędników. A masonów dużo było czynnych podczas ostatniej wojny po lazaretach?

Pielęgnowanie chorych nie należy do powołania masonów, odrzekł krótko Wielki mistrz.

Piszą i mówią dziś wiele o nadzwyczajnej potędze Jezuitów, obrócił monarcha mowę do patra. Na próżno szperałem, abym się dopatrzył tej potęgi waszego zakonu. Nie mógłbyś mnie pan w tém oświecić?

Najjaśniejszy panie! ta mniemana potęga zakonu Jezuitów jest straszidłem, wymyślonem przez naszych nieprzyjaciół dla podburzania umysłów, odrzekł pater. Właściwie Jezuici ze wszystkich ludzi są najbardziej niebezpiecznymi. Jesteśmy spotwarzani, przesładowani, uciskani. W wielu krajach nie mamy nawet prawa istnieć, oddychać, jak to w Bawarii i Szwajcarii. — Wszystkim związkom dozwolono w Bawarii żyć, wszystkim stowarzyszeniom wolno osiedlić się i istnieć w Szwajcarii, tylko nie towarzystwu Jezusowemu. Gdyby zakon Jezuitów rzeczywiście posiadał przypisywaną mu potęgę, toczyby członków swych niepozwolił traktować, jak się traktuje niewolników.

To w oczy bijące! odpowiedział książę gło-

wą kiwając. Jako cudzoziemiec musiałeś Jęmość dotychczasowy zakres czynności swęj opuścić. Udzielam ci niniejszém prawa obywatelstwa i pozwalam ci powrócić nadawniejsze stanowisko. — Jak najdłużęjjeszcze działaj dla dobra gminy Wezelhęjma.

Uchwycił skromnego za rękę i poprowadził do rady gminnej.

Macie tu napowrót waszego Jęmości. Poważajcie i słuchajcie go, rzekła Jęgo królewska Wysokość.

Najlaskawszy! Bóg zapłać tysiąckroć! zawołał mężowie, po których licach lały się łzy — a gdyby nie był szambelan przystąpił, aby wzruszonych z sali odprowadzić, nastalaby była rozrzucająca scena podziękowania i uciechy.

Monarcha z postawą zupełnie odmienioną stanął teraz naprzeciw masonów. Rysy jęgo były lodowate, ale oczy płonęły żarem.

Dzięki Opatrzności, zaczął mówić, która oczom mym odkryła sidła podstępny i złości. Nie zakon Jezuitów rozszerza dążności kulturze szkolne i niebezpieczne dla państwa świeckiego — lecz zakon masonów. Podstawą oświaty jest chrześcijaństwo — a nie kielnia nieprzyjaciółka chrześcijaństwa. W mym kraju nie będzie nigdy kielnia symbolem rządu — lecz krzyż. Jezuici także nie nauczają fałszywych — moralność psujących zasad — lecz masoni; bo to masoni pracują nad zburzeniem ołtarzy i tronów. Masoni to bezsumienni, chytry, krzywoprzysiężni urzędnicy, oni

to o księciu swym, któremu wierność zaprzysięgli, śmia mówić: że ten ograniczony człowiek nie rządzi, tylko nim rządzą. Wypadałoby podług właściwej sprawiedliwości, wytoczyć wam proces o obrazę majestatu i zdradę stanu.

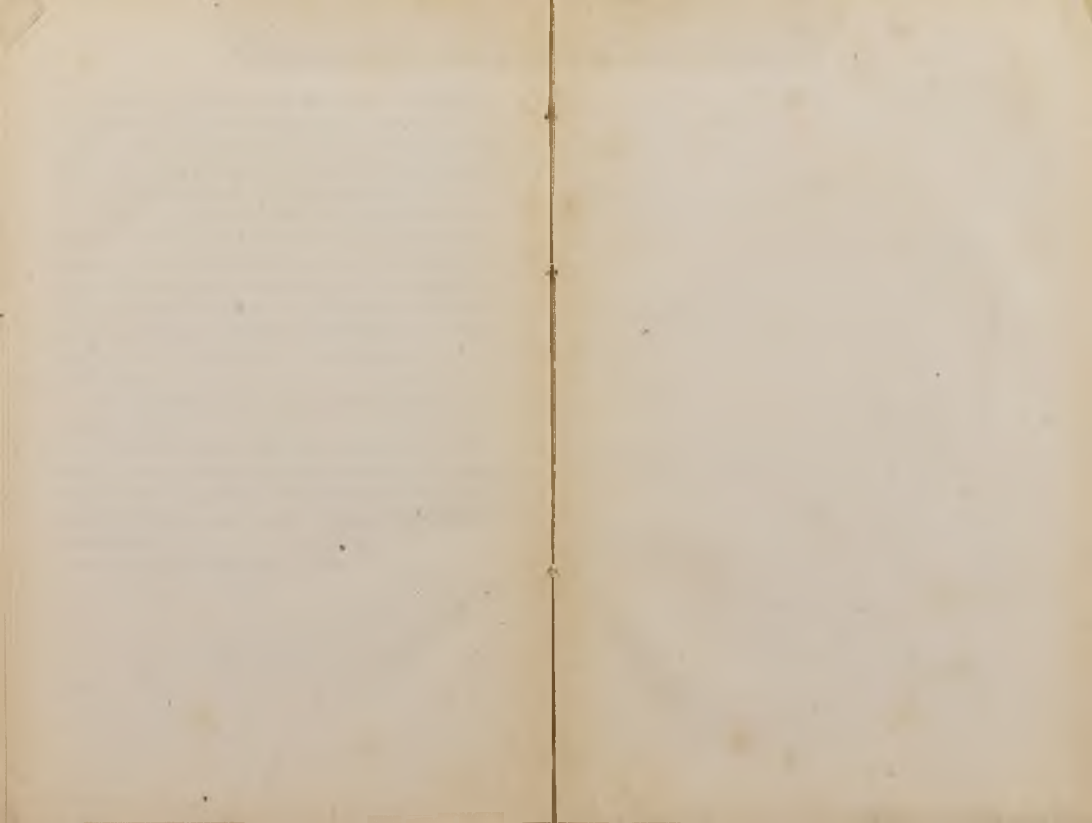
Oburzony do najwyższego ksiązę zrobił prze-
stanek; masoni zrazu nastawiali na wyrazy nie-
łaski monarszój nasróżone miny, teraz skurczyli
się od przerażenia. Monarcha stał w namyśle z
ręką na czole. Od stóp pagórka zahuczał śpiew
setnemi głosami. Gmina Wezelhéjm śpiewała:
Ciebie Boże chwalimy — prowadząc do wsi
proboszcza.

Po dojrzałej rozwadze wydał ksiązę na-
stępny wyrok:

Dyrektor powiatowy, nadradzca sądowy, pro-
fessor uniwersyteckii Szleedorn, radzca rejencyjny,
złożeni są z urzędów. Od postępowania sądo-
wnego uwalniam ich przez wzgląd na rodziny
winowajców.

Ksiązę odwrócił się i opuścił salę.







Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
Im. E. Smolki w Opolu

nl. Inw. :

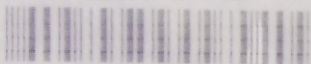
88915

Syg. :

Druk T. Heneczek w Niemieckich Piekarach.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

8891 S



001-008891-00-0